

Mieczysław Skąpski

Zwycięstwo na Zerawszanie

Od specjalnego wysłannika
„Głosu” do Azji Środkowej

W Uzbekistanie byłem pod koniec czerwca. Pytając o najciekawsze aktualne wydarzenia otrzymywałem odpowiedzi, że ostatnim był najazd polskich filmowców, którzy potężną ekipą zlecieli do stolicy Republiki — Taszkentu, a potem dalej, do starożytnej Buchary, gdzie na piaskach sąsiedniej pustyni rozpoczęli pod wodzą Jerzego Kawalerowicza kręcić „Faraona”. Ale drugim, nieco wcześniejszym wydarzeniem, bez porównania ważniejszym dla mieszkańców — była katastrofa na rzece Zerawszan. Zaledwie miesiąc z hakiem minął od tego wydarzenia, wszyscy mieli je jeszcze na ustach, spotykałem naocznych świadków walki z żywiołem, nie mogąc więc nie przekazać Czytelnikom relacji o tym największym może w naszych czasach zwycięstwie człowieka nad przyrodą.

Zerawszan jest dziwną rzeką. Biegnie swój początek na wysokości 5000 metrów, z lodowca w górach alajskich, potem użyznia pola Uzbekistanu i Tadżykistanu i kończy swój bieg w gorących piaskach pustyni Kara-Kum. Wiosną, gdy w górach topnieją śniegi, gwałtownie wzbiera, jak to było właśnie tego roku. Przybór wód spotęgował długotrwałe deszcze, które ponadto podmyły pękniętą wpół górę Suchto i spowodowały, że nagle, na oczach niecierpliwych, przerażonych świadków, połowa góry oderwała się od Turkiestańskiego Grzbietu, „poszła” w kierunku rzeki, poczyniła skłębila się i gigantyczną lawiną runęła w koryto, tworząc na rzece zawał wagi w przybliżeniu trzydziestu milionów ton. Przegróda miała około 240 metrów wysokości i ponad kilometr szerokości na górze. Przepływ wody został kompletnie zamknięty. Ludzie mieszkający niżej ze zdumieniem zobaczyli jak rzeka „umiera”, jak ginie w niej woda, ukazując się denne gazy, a wśród nich wspaniałe okazy ryb, pozostających po prostu na płasku. Ale właśnie tam niżej leży wielka i żyzna dolina, dla której wody Zerawszany są błogosławieństwem, rozprzodkane kanałami dają ziemi niezbędną wilgotność. Tam w dolinie położone są liczne kolchozy, a także miasta Pendżikent i Samarkanda, miasta-muzea, w których zachowała się jak żywa historia więcej niż tysiąclecia azjatyckiej kultury.

Wszystko to znalazło się nagle w stanie zagrożenia. Jeśli bowiem nie uda się szybko przepuścić wody poprzez zawał, utworzy się za nim w krótkim czasie ogromne, górskie jezioro, które zgromadzi taką masę wód, że gdy w końcu — co stać się musi — przerwie się przez tamę, morderczą falą zaleje dolinę, kolchozy i miasta, niszcząc zasiewy, sady, porywając dobytek ludzki i bezpowrotnie zabierając w swe nurty skarby Samarkandy.

Na miejsce katastrofy natychmiast zjechała specjalna komisja, na której czele stanął wicepremier ZSRR — I. Nowikow. Z nim przybył i sekretarz KC KP Uzbekistanu — Rasizidow i inni, dalej wielka grupa specjalistów z Taszkentu, Moskwy, Leningradu z akademikiem E. K. Fiodorowem na czele. Natychmiast też rozpoczęły się na miejsce katastrofy dostawy sprzętu w postaci koparek, ciężarów, spychaczy, kranów. Na wieść o klęsce z okolicznych kolchozów zaczęły przybywać grupy komunistów, komsomolców — do pomocy w walce z żywiołem. Jeden tylko kolchoz „Uzbekistan” przysłał oddział 700 ludzi wraz z maszynami i ciężarówkami.

Tymczasem przez 3 doby wezjście wzbierającym w kanionie Ze-

rawszanu zebrało się już ponad 20 milionów metrów sześciennych wody, a jej poziom podniósł się o 30 metrów. Wysoko położony most wiszący, łączący oba brzegi rzeki, dawno skrył się pod wodą. W osadzie Aini, roznieśczonej przed zawałem, na szczęście dość wysoko — pracował sztab specjalistów. Ustalono, że jedynym ratunkiem przed klęską jest wytyczenie nowego koryta Zerawszanu: częściowo przez tamę, częściowo zboczem góry, po czym dokonanie spustu wody i rozładowanie powstającego sztucznego jeziora. Ogromna praca musiała być wykonana w ciągu kilku dni. Nie dało się jej wykonać bez pomocy wielkiej ilości materiałów wybuchowych. Naukowcy i specjaliści-praktycy dokonali gorączkowo skomplikowanych obliczeń i wybrali najlepsze miejsca dla nowego koryta rzeki.

Praca trwała dzień i noc. Nikt tu nie spał normalnie, załogi pracujące na maszynach, zakładające materiały wybuchowe, przylegały na godzinę, dwie, na zmianę, po prostu na ziemi, rzadko pod naprędce skleconym szałasem. Ta praca była prawdziwą walką z czasem, ważna była każda minuta. Pierwszy wybuch okazał się udany. Na przestrzeni około 400 metrów powstał rów głębokości 5 metrów, w który natychmiast wzięły się buldożery, aby go oczyścić i przygotować grunt pod następny wybuch. Na szczęście z gór nie zeszła nowa lawina gliny i kamieni. Zaczęto przygotowywać nowy wybuch, 4-krotnie silniejszy od pierwszego.

Jednakże w tym czasie górskie jezioro wyszło już z kanionu i zaczęło zalewać dolinę. Od tamy długość jeziora przekroczyła 7 kilometrów. Dalej prowadzono ciągłe badania, wprowadzano korekty do poprzednich obliczeń, sprowadzono samoloty do Aini rulony z błoną syntetyczną, którą wyłożyły się koryta dla spustu wody, aby potężny nurt zbyt gwałtownie nie rozmył gruntu. Kilka ekip alpinistów wspióło się na szczyt, z którego zeszła lawina, by po drodze porozstawiać akumulatory i lampy elektryczne, które również w nocy pozwolą stale obserwować gdzie istnieje niebezpieczeństwo nowego obrywu.

„Prawda Wostoka” ze zwróceniem opisywała rozmowę z redakcją „Trybuny Ludu”, która telefonicznie pragnęła dowiedzieć się o aktualnej sytuacji. „Zainteresowanie” w dalekiej Polsce, życzenia stamtąd sukcesu w walce z żywiołem, wydało się Uzbekom godne podkreślenia w obszernym fragmencie korespondencji z Zerawszanu. Nie spotkałem takiej wzmianki o żadnej innej gazecie, z żadnego innego kraju — w całym wielkim cyklu codziennych reportaży, jakie „Prawda Wostoka” zamieszczała w te dni.

Drugi wybuch 1 maja utwierdził nadzieję, że katastrofalna powódź w zerawszańską dolinę nie zejdzie, że zdąży się przygotować nowe koryto. Potem z Aini ewakuowano czasowo całą ludność, podobnie działało się już wcześniej w wielu niżej położonych miejscowościach. Znowu nadeszły deszcze w górze Zerawszanu i Fan-Darii, która wpada do Zerawszanu. Przez to nasiliło się gromadzenie wody w sztucznym zbiorniku: dziennie 7 milionów metrów sześciennych!

Dwunastego dnia, po prawdziwie bohaterskich wysiłkach tysięcy robotników i wielkiej ekipy najwybitniejszych specjalistów Związku Radzieckiego: geologów, hydrologów, geofizyków i innych — rozpoczął się spust wody, która wąskim kanałem, podobnym do szczeliny, poczęła spadać 60-metrowym wodospadem w stare koryto Zerawszanu. Szczelina pod naporem wody szybko się poszerzała, jezioro przestało wzbierać. A zebrało się w nim już wówczas 74 miliony metrów kubicznych wody, poziom podniósł się o 60 metrów!

Wszystko poszło mniej więcej zgodnie z przewidywaniami. Gdyby budowa kanału przeciągnęła się jeszcze o 2—3 dni, wody przelałyby się przez tamę i runęły z szybkością 2000 metrów sześciennych na sekundę w dolinę, niosąc spustoszenie. Uspiskoo zerawszańskie należy do największych w ostatnich kilkudziesięciu latach na świecie, akcja ratunkowa nie ma precedensu.

Około 30 milionów metrów sześciennych wody wypuszczono ze zbiornika, w którym pozostało jeszcze około 50—60 milionów. Naukowcy zastanawiają się, czy rozmyć usypisko zupełnie, czy też może zbudować w tym miejscu elektrownię. O tym meźna myśleć spokojnie, bowiem groźba katastrofy została zażegnana. Człowiek zwyciężył żywioł.

Są w Powstaniu Warszawskim należącym bezspornie do najbardziej skomplikowanych i tragicznych wydarzeń w historii Polski, dwa główne, kłopotliwe przeciwstawne sobie zjawiska. Aleksander Skarżyński określa jedno z nich jako dążenie KG AK i Delegatury rządu londyńskiego do stworzenia przeciwwagi dla PKWN, którą miało być opanowanie stolicy kraju, gdzie ujawniłyby się i rozpoczęły urzędowanie prołondyńskie ośrodki polityczne. W tym więc sensie Powstanie Warszawskie było integralną częścią składową planu „Burza”, który jak pisze Autor na 148 stronie omawianej książki* miał mieć „tylko charakter polityczno-demonstracyjny”. Ale w rozpoczęte 1 sierpnia 1944 r. około godziny 16.00 walki wkroczył lud Warszawy. Jego masowy udział w powstańczym zrywem przełamał kryzys, jaki zapanał w szeregach AK po niepowodzeniu większości ataków na podstawowe obiekty wojskowe i policyjne, a ponadto „wpłynął na charakter walki, nadając wystąpieniu w Warszawie zamierzonemu przez KG AK jako demonstrację polityczną, cechy powstania narodo-wyzwoleńczego (str. 395)”.

Recenzowana książka Aleksandra Skarżyńskiego, naukowego pracownika Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, stanowi niewątpliwie jedną z najwartościowszych pozycji w polskiej historiografii dziełach najnowszych. Predestynuje ją do tego m. in. niezwykle bogata baza źródłowa złożona z wykorzystanych w większości po raz pierwszy archiwaliów KG AK, Delegatury Rządu i popierających je partii politycznych, wchodzących w skład Rady Jedności Narodowej. Stanowią one nader wymowny dokument odkrywający korekcie i kulisy tragedii Warszawy.

Skarżyński ma całkowitą rację, gdy wykazuje że początki decyzji, która 1 sierpnia 1944 r. rzuciła powstańców do nierównej walki z czołgami wroga, powstała na jesieni 1943 r. Chodzi tu o plan „Burza”, u którego podstaw legła „Instrukcja dla kraju” uchwalona 27 października 1943 r. przez emigracyjną radę ministrów pod przewodnictwem Stanisława Mikołajczyka. W „Instrukcji”, którą KG AK uzupełniła później szeregiem różnych wytycznych, rząd emigracyjny dawał wyraz zdecydowanie wrogiemu stanowisku wobec ZSRR i obozu polskiej lewicy. W

Wojciech Sulewski

Za to zapłaciła Warszawa

myśl jej ruch zbrojny oddziałów AK, polegający na szarpaniu niemieckich straży tylnych odchodzących pod naciskiem Armii Czerwonej, miał oddać władzę w ręce terenowych delegatur rządu emigracyjnego, które niezwłocznie rozprawiłyby się z PPR i współpracującymi z nią ugrupowaniami. Rząd emigracyjny chciał także wykorzystać „Burzę” do wywarcia nacisku na ZSRR, celem skłonienia go, by uznał granicę ryską, której nie chcieli aprobować także zachodni sprzymierzeńcy Polski.

Z planu „Burza”, który wcześniej wiosną 1944 r. — gdy na Wołyniu wystąpiła do walki 27 dp AK — zaczął wchodzić w stadium realizacji wyłączonej jednak Warszawę. Mówi o tym pochodząca z marca 1944 r.

Przed 20 rocznicą Powstania Warszawskiego

decyzja KG AK potwierdzona przez depeszę Delegata rządu z dnia 5 lipca i generała Bora-Komorowskiego wysłaną do Londynu w dziewięć dni później. W mieście obsadzonym przez dwadzieścia tysięcy uzbrojonych po zęby hitlerowców, pokrytym gęsto siecią bunkrów, nie było nawet najmniejszych szans zwycięskiego przeprowadzenia walk powstańczych. „Nie zamierzając prowadzić poważniejszych walk w mieście, Komenda Główna nie przydzielała w roku 1944 broni i amunicji Warszawskiemu Okręgowi Armii Krajowej, natomiast przerzucała ją na wschód” — czytamy na 202 stronie recenzowanej książki. Później następują wyliczenia wskazujące, że jeszcze na dziesięć dni przed wybuchem powstania odchodzili z Warszawy do Brześcia i Białegostoku transporty broni i amunicji. Myślę, że wszelki komentarz jest tutaj zbędny.

Podjętym w dniach 25—28 lipca decyzję o wywołaniu powstania w

Warszawie KG AK i Delegatura dały dowód całkowitego braku panowania nad nerwami, o co przyprowadziła je wiadomość o powstaniu PKWN. Sądziły one także, że powodując powstanie, udzielił zasadniczego poparcia Mikołajczykowi, który przebywał właśnie w Moskwie, gdzie prowadził rozmowy z rządem radzieckim oraz doprowadzą do wytworzenia się poważnych zatargów między ZSRR a zachodnimi sojusznikami. W tym właśnie kierunku popychał KG AK i Delegaturę w depeszach z dnia 25 lipca „naczelny wódz” gen. Kazimierz Sosnkowski. Jak podkreśla Autor: „Zaostrzenie rozbieżności i dążenie do poróżnienia mocarstw zachodnich z ZSRR było linią przewodnią polityki rządu emigracyjnego, konsekwentnie realizowaną w końcowym okresie trwania wojny” (str. 58). „Zachęcało” go do tego stanowisko niektórych polityków angielskich np. Edena. Powstanie Warszawskie rozpoczęło się w warunkach całkowitej izolacji, zwinionej wyłącznie przez jego inicjatorów oraz w jak najmniej sprzyjającej po temu sytuacji militarnej. Minął już bowiem okres, kiedy hitlerowcy w popłochu uciekali z Warszawy i na linii Wisły stabilizował się front niemieckich armii, które w dodatku zaczęły przechodzić do kontrataków. KG AK dała więc także wyraz całkowitej nieumiejętności oceny położenia na froncie wschodnim. Za to wszystkim zapłaciła później Warszawa straszliwą hekatombą ofiar. „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego” to książka, która wszechstronnie naświetla różne aspekty wielkiej tragedii ludu Warszawy. Robi to nader przekonująco, a równocześnie ze spokojem i rzetelnością naukowej rozprawy. Toteż trudno przecenić jej wartość właśnie dziś w dwudziestą rocznicę Powstania.

* Aleksander Skarżyński „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego”. — Warszawa 1964 PWN, str. 395. Aneks, bibliografia, indeksy. Cena zł 45.—

Irena Frąckowiak

„Poznam blondynkę z własną hodowlą drobiu...”

Już za przedwojenne 50 groszy można było kupić w budce z gazetami pismo „Fortuna-Wersal”. „Fortune” kolportowano także u wejścia do ogrodów publicznych, popularnych kawiarni, latem w pobliżu plaż i widowni sportowych, zimą przy ślizgawkach. Często widywałam samotnych mężczyzn bez pamięci zaczytanych w ogłoszeniach matrymonialnych wypełniających łamy „Fortuny”.

Obecnie trochę się zmieniło. Zamiast „budek” mamy kioski „Ruch”, a w miejsce „Fortuny-Wersal” — powielany biuletyn biura matrymonialnego „Syrenka”. Biuletyn kosztuje całe 19 złotych, lecz nie ma go w wolnej sprzedaży. Otrzymują go tylko klienci „Syrenki”, tj. osoby, które same dały anons matrymonialny i pragną wybrać z ogłoszenia, albo za pośrednictwem korespondencji, „przeznaczonego” lub „jedyną”.

Jest jeszcze jedna droga swatów poprzez prasę; drobne ogłoszenia matrymonialne. Ukazują się one tylko w kilku dziennikach i periodykach, są za to dostępne dla wszystkich mieszkańców PRL. Jeśli, miła Czytelniczko, któregoś dnia otworzysz „Kurier Polski” i oko twoje padnie na słowa: „Poznam blondynkę z własną hodowlą drobiu” — już po miesiącu możesz stanąć na ślubnym kobiercu. Oczywiście pod warunkiem, że masz hodowlę drobiu i chcesz wyjść za mąż — blondynkę zrobi z ciebie pan Józef za jedne 120 złotych.

Grupa polskich socjologów prze studiowała biuletyn „Syrenki” oraz treść ogłoszeń matrymonialnych w „Kulisach” i „Kurierze Polskim”. Ich praca rzuciła ciekawe światło na stereotypy ideału meża i żony w Polsce w latach sześćdziesiątych naszego wieku.

Ona: Maturzyska dobrego charakteru

Nie wiem, czy kłaść to na karb męskiego zakłamania (w sprawach damsko-męskich, oczywiście...) czy też we wnętrzu mężczyzny tkwią ukryte skarby — dość że kandydaci na mężów z ogłoszenia okazują nieoczekiwaną bezinteresowność. Ich ideałem nie jest ani jedynaczka

Forda, ani następczyni holenderskiego tronu, ani nawet Brigitte Bardot. Pragną natomiast, by los połączył ich z: 1 panną, 2. ze średnim wykształceniem, 3 z zaletami charakteru, 4. z zaletami towarzyskimi, 5. gospodarną, 6. mającą zawód, 7. przy stoją. Dopiero na ósmym miejscu wymieniają posag: mieszkanie, a na czternastym pragnienie, by kandydatka była dobrze sytuowana.

Trochę inaczej przedstawia się lista pragnień, jeśli podzielimy badaną grupę na mężczyzn z podstawowym, średnim i wyższym wykształceniem. Ostatni stawiają kandydatkę na żonę dodatkowy warunek: studia wyższe i... bezdzietność. Natomiast mężczyźni z pierwszej i drugiej grupy nie życzą sobie za żonę rozwódki, chętnie za to widzieliby kobietę z jednym dzieckiem.

On: Z zaletami charakteru, bez nałogów

Żadnych niespodzianek — przynajmniej autorce niniejszego streszczenia — nie przyniosła lektura wy magań, jakie przyszłym mężom stawiają kandydatki na żony. Bardzo powoli ewoluuje kobiecy ideał dogonnego towarzysza życia... Marynia Pławicka z sienkiewiczowskiej „Rozdiny Polanieckich” i tysiące klientek „Syrenki” marzą o jednym i tym samym: żeby przyszły mąż odznaczał się zaletami charakteru i nie miał zgubnych nałogów. Dopiero na dalekim miejscu wymieniają pragnienie, by był przystojny i posiadał mieszkanie.

Rzecz charakterystyczna: przy podziale kandydatek na trzy grupy o różnym wykształceniu, okazuje się, że wszystkie panie życzą sobie mężów z wykształceniem średnim. Czyżby osoby z dyplomami akademickimi chciały w taki sposób osiągnąć supremację w związku małżeńskim?

Nie żenimy się na księżycu!

Choć ogłoszenia matrymonialne są tylko miniaturowym wycinkiem rzeczywistości zwanej życiem w dwu-

je, i w tym wycinku można ujrzeć charakterystyczny obraz naszych czasów. Na charakter rubryk z serduszkami nie rzutują słynne: „Poznam panią z samochodem. Oferty z fotografią samochodu...” albo „Dobrze sytuowany pozna trzy przystojne studentki. Cel matrymonialny”. Większość osób zgłaszających chęć zawarcia związku małżeńskiego traktuje sprawę bardzo poważnie. Ich dążenia są proste, zrozumiałe i możliwe do zaspokojenia — i, jeśli zostaną spełnione, powinny tworzyć szczęśliwe stada małżeńskie.

Czy stworzą?

To zależy nie tylko od obiektywnych przesłanek. Czasem dwoje ludzi ma wszelkie dane do wspólnego szczęścia — i żyje z sobą jak pies z kotem. Innym razem para, skazana przez obiegowe opinie na wieczne nieporozumienia, daje wzór harmonijnej współżycia. Bo w małżeństwie nie wystarczy zalety charakteru i serca, wykształcenie i zawód, uroda i gospodarność. Trzeba się, na dodatek, w sobie zakochać — s'aimer d'amour, jak mówią Francuzi. A tego już nie może obiecać ogłoszenie, biuro matrymonialne, ani żadna inna forma skojarzenia „jej” z „nim”.

Festiwal laureatów

W dniach od 8 do 12 sierpnia odbywać się będzie tegoroczny, XIX z kolei Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju.

Festiwal w Dusznikach — najstarsza impreza muzyczna w Polsce Ludowej, cieszą się od lat niesłabnącą popularnością zarówno wśród muzyków, jak i wczasowiczów i licznych gości, którzy z tej okazji spe cjalnie zjeżdżają do dołnośląskiego uzdrowiska. Koncerty tegorocznego festiwalu staną się okazją do usłyszenia laureatów powojennych konkursów chopinowskich oraz kandydatów do najbliższego, VII konkursu. Na estradzie w Parku Zdrojowym wystąpią: Halina Czerny-Stefańska, Kiyoko Tanaka, Józef Stompel oraz młodzi pianiści — Elżbieta Głąb i Cezary Owerkowicz.

Wykonawcą jednego z recitali będzie ponadto czechosłowacki pianista, prezes Towarzystwa Chopinowskiego w Mariańskich Łaźniach wielokrotny juror konkursów chopinowskich — prof. Frantisek Rauch. W festiwalowych koncertach weźmie też udział orkiestra symfoniczna Państwowej Filharmonii we Wrocławiu pod dyr. Adama Kopycińskiego i Włodzimierza Ormickiego.

Oglądaliśmy niedawno na ekranach telewizorów pełen romantyki radziecki film fantastyczno - naukowy o profesorze, który syna przysposobił do życia w wodzie, pragnąc w ten sposób otworzyć ludzkości nowy, podwodny świat. Zastanawialiśmy się wówczas, czy rzeczywiście jest możliwe, by człowiek potrafił kiedyś w przyszłości bez maski i butli z tlenem przemierzać morskie głębiny oddychając jak ryba, tlenem rozpuszczonym w wodzie?

Pies toruje drogę

Odpowiedź — pozytywną — na to pytanie dają uczeni z Uniwersytetu Lejdeńskiego w Holandii. Jak podają czasopisma naukowe, prowadzone są tam już od paru lat doświadczenia z przysposobianiem zwierząt do życia w wodzie.

Jak wiadomo, ssak lądowy — szczur, pies, czy człowiek — pogrążony w wodzie dość szybko ginie. Dzieje się tak, ponieważ organizmowi brak tlenu; płuca ssaka przystosowanego do życia na lądzie nie mogą zaspokoić swoich potrzeb niewielką ilością tlenu rozpuszczonego w wodzie, jak to czynią ryby za pomocą skrzelii.

Jednakże, jak wykazały badania holenderskich uczonych, również płuca zwierzęcia potrafią przyswajać tlen z wody — chodzi tylko o to, że tego tlenu w wodzie jest za mało. Próbowano więc nasycić wodę tlenem. Oczywiście tlen wpompowywany bezpośrednio do wody szybko ulatuje z niej pęcherzykami, albo wystarczy umieścić akwarium doświadczenia w komorze wysokiego ciśnienia, by utrzymać zwiększoną ilość tlenu w wodzie przez dostate-

Władysław Kulicki

Płetwonurek bez maski

cznie długi czas. W takim właśnie akwarium umieszczono psy, szczury i myszy obciążając je odpowiednim balastem, by nie mogły wypłynąć na powierzchnię. Jak się okazało — zwierzęta żyły z płucami wypełnionymi wodą, oddychając zawartym w niej tlenem.

Kiedy człowiek?

Na pewnym etapie eksperymentu spotkał jednak uczonych zawód. Otóż po stosunkowo krótkim oddychaniu wodą zwierzęta dostawały krwotoku z gardła i po wyjściu z wody z reguły miały już krótkotrwały żywot. W wyniku żmudnych badań ustalono przyczynę tego zjawiska. Jak się okazuje, woda stykając się w płucach na wielkiej przestrzeni bezpośrednio z cienkościenymi naczynekami krwionośnymi, drogą osmozy powodowała jak gdyby wypłukiwanie soli mineralnych z plazmy krwi. I to właśnie było przyczyną zaburzeń w organizmie zwierząt.

Wówczas uczeni uczynili nowy krok: nasycali wodę w akwarium odpowiednią ilością soli mineralnych, czyniąc z niej coś w rodzaju płynu fizjologicznego. Dzięki temu zwierzęta można było przetrzymywać w wodzie coraz dłużej bez szkody dla

organizmu. Najłatwiej przystosowywały się do nowych warunków psy i na nie postawiono głównie w dalszych eksperymentach.

W pierwszym etapie pies po całej dobie spędzonej pod wodą żył później w normalnych warunkach przeszło miesiąc. Obecnie, dzięki udoskonaleniu metody, nawet wielokrotnie dłuższy pobyt zwierzęcia pod wodą nie odbija się na jego zdrowiu.

Jakie znaczenie mogą mieć tego rodzaju eksperymenty? Oczywiście bardzo duże. Przede wszystkim na tej drodze można opracować nowe, nader efektywne metody ratowania tonących, a także ratowania niemowląt urodzonych bez oddechu. A jeśli popuścić wodze fantazji... Kosmonauta startujący i lądujący w takim akwarium wcale nie odczuwa przeciążenia. Baseny o nasyconej tlenem wodzie dla amatorów podwodnego sportu. I wreszcie to, o czym marzył ów profesor z fantastycznonaukowego filmu — całe kolonie stałych mieszkańców oceanicznych głębin...



Jezioro Kiekrz roi się od setek żeglujących jachtów. Tu spędzają swe urlopy oddaleni od jezior mazurskich i morza, zapaleni żeglarze Poznania i Wielkopolski.

CAF — fot. Gonczarow

FILM

Życie high life'u

„Słodkie życie”. Film produkcji włosko-francuskiej. Scenariusz: Federico Fellini, Tullio Pinelli, Ennio Flaiano, Brunello Rondi. Reżyseria: F. Fellini. Zdjęcia: Otello Martelli. Muzyka: Nino Rota. Wykonawcy: Marcello Mastroianni (dziennikarz Marcello Rubini), Yvonne Furneaux (Emma), Anouk Aimee (Maddalena), Anita Ekberg (Sylvia), Alain Cuny (Steiner), Annibale Ninchi (ojciec Marcello), Magali Noel (Fanny), Lex Barker (Robert), Nadia Gray (Nadia), Valeria Ciangottini (Paola), książę Vadim Volkonsky (książę Mascallchi), książę Eugenio Ruspoli di Poggio Suasa (Eugenio), hrabia Ivenda Dobrzensky (Giovanni), Doris Pignatelli księżna Monteroduni (księżniczka w białej pelerynie) i inni.

Złota Palma na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes w 1960 r.

Ten film opowiadający o życiu włoskiego high life'u (najwyższych sfer) wywołał skandal, jak może żaden inny, mimo, że kilku znanych arystokratów gra w nim samych siebie. Premiera zgromadziła samą śmietankę towarzyską, która zobaczyła nagle siebie bez osłonek, taką, jaką nigdy nie chciała być widziana. Protestowano i wychodzono z sali kinowej. Ale już było po fakcie, film został pokazany, spodobał się szerokiej publiczności i krytykom, w Cannes dostał główną nagrodę, rozpoczął triumfalny pochód po świecie.

Pozornie jest to film o pracy i życiu pewnego dziennikarza nie najwyższej rangi, żerującego na plotkach z życia sławnych ludzi, przede wszystkim arystokracji i gwiazd filmowych i na wszelkiego rodzaju sensacji. W duszy pięciokrotny marzenia zostają pisarzem, intelektualistą, w rzeczywistości słaby charakter spycha go coraz nżej w świat rozrywkowej kłamstwa, blichtru. Ale to pozory. Dziennikarz jest dla Felliniego jedynie pretekstem do powiedzenia wielu ciekawych rzeczy o obyczajach współczesnych Włoch. Najostrożniej demaskuje pustkę życia, schowana za fasadą życia pełnego uroków, bezrozkosznego i swobodnego, ale na tym bynajmniej nie kończy.

Film składa się z szeregu odrębnych niejako nowel połączonych osobą Marcello. Mamy więc jego nocne spotkanie z bogatą i piękną Maddalena, dla której wszelkie rozrywki są już nudne dlatego... spędza noc z Marcellem w pokoju wynajętym od przypadkowego napotkanego prostytutki (rozumiecie: tak atrakcyjnie!), dalej mamy sekwencje z hollywoodzką gwiazdą filmową, której styl życia podczas konferencji prasowej, na dancingu (słynny taniec) i potem stanowi kwintesencję „american way of life” (amerykańskiego stylu życia) wymiśnianego słusznie na całym świecie. Osobnym — i chyba dla Polaków szczególnie interesującym — studium obyczajowym jest wyprawa Mar-

cella do dzieci nawiedzonych przez Małkę Boską; to zacięte religijne, ten oślupiały tłum, ta zgraja szarłatów — skąd my to znamy? Pojemnik z młodzieńcem Paola, kelnerka, świeżo sprowadzona z prowincji, jeszcze nie zepsuta — robi ona na Marcello duże wrażenie. Jest i sekwencja spotkania i nocnej zabawy Marcello z ojcem przybyłym do Rzymu, któremu synalek podsuwa jedną ze swych przyjaciółek. Wreszcie „uczzone” spotkanie z intelektualistą Steinerem, który jest dla Marcello wzorem stylu życia. Gdy więc ten zabija dwoje swoich dzieci i siebie Marcello nie widzi już przed sobą wzoru i rzuca się bez oporów w rozpustę. Właśnie scena takiej orgii kończy film i... tragedie tych ludzi, co Fellini pięknie podkreśla zdjęciami owego ranka nad morzem, gdzie drzewa w lesie są tak sfotografowane jak postaci starożytnych tragedii, jak postaci tragicznego chóru świadków i komentatorów wydarzeń.

Całość zrobiona znakomicie od strony reżyserskiej i operatorskiej, świetnie także zagrana, zwłaszcza przez Mastroianniego, robi duże wrażenie i stanowi dobrą lekcję historii obyczajowości. I nie tylko, twórcy filmu pokazali przejmująco, że o sensie życia nie decydują ani pieniądze, ani uroda.

MIECZYSLAW SKĄPSKI



KULTURA POLSKA I ŚWIAT

Tak zatytułował dwutygodnik literacki „Współczesność” swoją nową akcję publicystyczną, mającą na celu uelastycznienie i usprawnienie wymiany dóbr kulturalnych między Polską a zagranicą. „Współczesność” zwraca się w swej akcji do czołowych meźów sztuki, polityków kulturalnych oraz tych twórców, którzy sprawują odpowiedzialne funkcje w związkach i stowarzyszeniach kulturalnych. Odpowiadają oni na trzy pytania:

„1. Jakiej z form wymiany kulturalnej proponowanych przez uczestników dotychczasowej dyskusji uważa Obywatel za szczególnie konstruktywne i wymagające realizacji? 2. Jakiej formy współpracy i wymiany kulturalnej proponuje Obywatel na przyszłość? 3. Jaką rolę w tej wymianie, zdaniem Obywatela, winna odegrać Polska Rzeczpospolita Ludowa?”

Jako pierwsi wypowiadają się Jarosław Iwaszkiewicz — prezes ZG Związku Literatów Polskich, Tadeusz Galiński — minister Kultury i Sztuki PRL oraz Stanisław R. Dobrowolski — prezes Stowarzyszenia Autorów ZAIKS. Oto, co pisze S. R. Dobrowolski:

„1. Nie znam pożyteczniejszych form wymiany kulturalnej od żywych, przy-

jacielskich stosunków działaczy kulturalnych, twórców, artystów, ludzi nauki. Z tego wynika reszta — owoce dobrego. 2. Proponuję śmiało ożywienie wymiany kulturalnej — z tym, by w wymianie tej były odjęte wszelkie cechy oficjalności. Wysłać w świat ludzi na to zasługujących, rokujących nadzieję, że wiele od nas wywozją i nie mniej nam przywiozją. Zapraszać takich samych na długiej. 3. Niech PRL świeci przykładem.”

NAGRODZONA SZTUKA J. BROSZKIEWICZA

„Kultura” drukuje na swych łamach obszerny fragmenty sztuki Jerzego Broszkiewicza „Ta wieś, Mogiła”, która uzyskała I nagrodę w konkursie na sztukę TV, zorganizowanym z okazji 20-lecia PRL. Akcja dzieje się w warszawskiej telewizji. Treść ukazuje niejako kulisy szkolnego ekranu.

PAWEŁ VI I NRF

To tytuł artykułu Stanisława Markiewicz w „Kulturze”, omawiający stosunki między papieżem a Niemiecką Republiką Federalną. Autor tak kończy swe rozważania, poparte szeregiem faktów:

„Zgodna z duchem Piusa XII jest polityka Montiniego wobec NRF. Zgodne z duchem Piusa XII jest błogosławieństwo Pawła VI, udzielone 26 maja br. przybyłej z NRF delegacji „Ziomkostwa Ślązaków”, którą papież pozdrowił po niemiecku podkreślając, iż jest „sercem przy nich” i zapewnił, iż o wstawiennic-

Eugeniusz Pauksta Nowości PIW-u

Oto osobliwa w swoim lirycznym nastroju, w dziwnej, nie zawsze pojętej do końca symbolice, a przy tym bardzo współczesna powieść pisarza japońskiego Kawabata Yasunari — „Kraina śniegu” w świetnym przekładzie Wiesława Kolańskiego. Książka bez reszty tkwi w klimacie japońskim, gdzie realizm szczegółów kontrastuje z mglistą retrospekcją wewnętrzną, opowiada o miłości prowincjonalnej gejszy do poznane go przypadkiem mieszkańca stolicy. Rzecz japońska i bardzo ogólnoludzka zarazem. Spokojna, niejako beznamiętna, nie pozbawiona jednakże spraw ludzkich przeżyć, wspomnień, analiz. I oto zaraz obok książki Roberta Junga „Promienie z popiołów”, ni to powieść, ni to reportaż, pisana z pasją, pełna zaangażowania, może przez to nawet w pewnych momentach nieobiektywna. Autor, pisarz austriacki, długi czas spędził w Hiroszimie, z ludźmi i pośród ludzi, żyjących pamięcią tamtego dnia, a zarazem innych, tworzących nowe miasto, nową Hiroszimę. Obraz momentu zagłady jest wstrząsający, nie mniej wstrząsające są miesiące, bezpośrednio po wybuchu, ale i... równie przejmujące są dni dzisiejsze tych,

Z książką na ty

zaskakując niemal absolutną szczerością, to obecnie opowiada o swym wieku dojrzałym, o poszczególnych książkach, jak, pod wpływem jakich inspiracji powstały, jaki wpływ miały tu osobiste przeżycia, a jakie kontakty z innymi ludźmi, gdzie osoba Sartre'a wpływa na pierwszy plan. Jeszcze jeden zatem zapis próbujący odsonić tajemnicę pisarskiego warsztatu? Nie tylko, to również kronika ładnego wycinka lat życia kulturalnego Francji, suma przemyśleń, obraz niełatwych często przeżyć.

W serii „ceramowskiej” ukazała się autobiografia D. C. Talayesvy, Indianina z plemienia Hopi, opracowana

przez Leo W. Simmonsa. „Wódz Słońca”, to książka w sumie smutna. Plemię Hopi żyje dziś w rezerwie, wymiera, a światlejsi jego członkowie, przyjmując cechy nowego, amerykańskiego stylu życia, zarazem pełni są świadomością, że dawne ich życie, to znacznie pełniejsze, przesłaje na zawsze istnieć. Praca przygotowana do druku przez wybitnego antropologa, posiada wszelkie cechy dzieła naukowego, wzbogaca ją zarazem szeregi świetnych reprodukcji. A przy tym jest to fascynująca lektura.

W „Bibliotece pamiętników polskich i obcych” — atrakcyjny „rodzinek”. Tym razem przełożone przez Z. Korczak-Zawadzką „Wspomnienia” Longina Pantielejewa, działacza społecznego i wydawcy, związanego szczególnie silnie z rosyjskimi organizacjami wolnościowymi, z których ramienia w czasie powstania styczniowego nawiązał kontakt z Rządem Narodowym. Pantielejew opowiada o swojej działalności politycznej, o arestowaniu i śledztwie w Wilnie, o pobycie na Syberii, „za podniecanie do powstania i poparcie powstania Polaków”.

Z polskich nowości PIW-u wymienić trzeba książkowe wydania tekstów znanych już czytelnikom z publikacji w czasopiśmie. A więc ukazał się tom II felietonów Antoniego Słonimskiego „Załatwione odmownie” oraz „Pył miłosny” Adolfa Rudnickiego.

two dla nich prosił będzie patronkę Śląska, błogosławioną Jadwigę.”

NASZA KONCEPCJA PAŃSTWOWO-NIEPODLEGŁOŚCIOWA

„Tygodnik Demokratyczny” zamieszcza artykuł Stanisława Kulczyńskiego pt.: „Patriotyzm i internacjonalizm”, w którym autor nakreśla pozycję Polski w świetle jej dwudziestoletniego doświadczenia.

„Konceptję państwowo-niepodległościową — pisze autor — oparła Polska Ludowa na dwóch ideach, sterujących życiem i losami narodów: na patriotyzmie i na internacjonalizmie. Patriotyzmowi zawdzięcza Polska swoją imponującą odbudowę materialną, swój awans kulturalny i gospodarczy. Internacjonalizmowi, który ożywia współczesne społeczeństwo nasze budujące socjalizm i pokój, zawdzięcza Polska swoje osiągnięcia w życiu międzynarodowym. Idea skojarzająca ze sobą: patriotyzmu i internacjonalizmu — i uczynienia z nich fundamentu, na którym opiera się byt niepodległego narodu i państwa — nie jest obca myśli politycznej polskiej. Przeciwnie, polska myśl polityczno-państwowa jest jedną z czołowych twórczyni tej koncepcji. W walkach o wolność i niepodległość patriotyzm i internacjonalizm polski wyrażał się w hasło „za naszą i Waszą wolność”.

KŁOPOTY TELEWIZJI

„Życie Literackie” w artykule Leszka Elektorowicza pt.: „Jutro będzie lepiej — w telewizji” porusza interesującą

kwesję gwałtownego, żywiołowego rozwoju telewizji, i coraz bardziej rosnącego zamówienia społecznego na dobry program i na odpowiedni poziom techniczny naszej TV. Autor, stwierdzając, że w dziedzinie techniki jest lepiej (z zdaniem dyrektorów — nawet świetnie) pyta:

„Skąd jeszcze te częste zakłócenia i zniekształcenia odbioru? Technika naszej telewizji postępuje, na pewno, ale ten postęp nie idzie w parze ze wzrostem wymagań telewizyjów, ani ze wzrostem ambicji autorów i realizatorów (...) Zapewne zasługuje Rzeczpospolita na zainteresowanie kresów, ale czy programy tego cyklu, choćby jak udane jak ów z pałacu w Łańcucie, nie mogły zostać zastąpione dobrymi reportażami filmowymi i nagrańmi (dla tego cyklu instalowano specjalną trasę łącz — dop. Lektora). Parę z nich wskulek wielu przyczyn było odwołanych, nadawanych w innych porach czy dniach nawet, co burzy cały porządek programu (...). Podstawowym brakiem technicznym naszej telewizji jest brak rezerw. Tu „wysiadzie” jakiejś lampy, tam opornik czy kondensator i program przygotowany trudem wielu ludzi, autorów, redaktorów, aktorów, sztabu realizacyjnego i technicznego — wzięt w łeb.

(...) Według zapewnień czynników kierowniczych zarówno Telewizji jak i Zjednoczenia Stacji Radia i TV, do połowy 1965 roku (...) nastąpi zasadnicza poprawa odbioru. A nam, na niższych szczeblach frustracji, cóż pozostało prócz cierpliwości i nadziei? (...) Uśmiechamy się więc do jutra”.

LEKTOR